

Oczyścimy i zarobimy?

7 marca 2015

O niedawnej parlamentarnej decyzji, która ma ułatwić „zwykłym ludziom” produkcję i sprzedaż „zielonej energii” oraz o tym, czy można w tej kwestii zrobić jeszcze więcej, rozmawiamy z dr. Andrzejem Kassenbergiem z Instytutu na rzecz Ekorozwoju.

MAGDA KOMUDA: Przyjęta niedawno przez Parlament poprawka prosumencka ma sprawić, że energię będzie mógł wyprodukować „każdy”. Powinna ona zagwarantować, że korzystanie ze źródeł niewyczerpującej się energii stanie się w końcu opłacalne dla obywateli, a także będzie mieć pozytywny wpływ na środowisko naturalne. Kwestia podstawowa – kim jest prosument i co owa poprawka gwarantuje mu w praktyce?

DR ANDRZEJ KASSENBERG: Prosument to osoba, która nie tylko konsumuje energię, ale także ją produkuje na własne potrzeby, a nadwyżki sprzedaje do sieci – czy to lokalnej, czy ogólnokrajowej. Dotyczy to głównie energii elektrycznej, ale jeśli w pobliżu jest sieć ciepłownicza, to można sobie wyobrazić, że prosument odprowadza do niej nadmiar ciepła, które wytworzy. Poprawka, którą wprowadzono, przeszła przez Sejm, więc ustawa czeka obecnie na podpis Prezydenta. Gwarantuje ona stałość ceny, czyli tzw. taryfę gwarantowaną przez 15 lat dla kogoś, kto zdecyduje się zainwestować w takie rozwiązanie – czy to dotyczące paneli słonecznych, czy fotowoltaiki, czy mikrowiatraków, czy małych biogazowni. Ustawa określa dwa progi – jeden do 3kW, czyli mikroinstalacje, drugi między 3 a 10 kW, czyli małe instalacje. Jeśli ktoś zainwestuje, to ma szansę w określonym czasie, zależnym oczywiście od warunków, jakie będą panowały na rynku, uzyskać najpierw zwrot zainwestowanego kapitału, a później mieć korzyści finansowe ze sprzedaży nadwyżki. Ponadto ustawa stwarza także warunki dla inwestujących w trochę większe instalacje, czyli od 10 do 40 kW, gdzie osoby prywatne będą mogły sprzedawać nadwyżki po cenie z poprzedniego roku, a

firmy prowadzące działalność gospodarczą na zasadzie net-meteringu, czyli ja oddaję do sieci wszystko, a pobieram z sieci tyle, ile mi potrzeba, i ta różnica – czy pobiorę więcej czy mniej – jest rozliczana.

Tak mniej więcej wygląda cały mechanizm, sprawdzony w wielu krajach – najlepszym przykładem są chyba Niemcy, gdzie jest 1,3 miliona prosumentów. W zeszłym roku Niemcy zarówno z energetyki prosumenckiej, jak i z większych instalacji wytworzyli więcej energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych, niż z jakichkolwiek innych paliw – 28% ogółu energii było „zielone”.

– Niemcy to ciekawy przykład. Wprowadzenie tam reformy odnawialnych źródeł energii (OZE) miało pozytywny wpływ na przetransferowanie inwestycji OZE z rąk koncernów w ręce obywateli, czyli prosumentów, oraz niewielkich spółdzielni energetycznych. Jak to wyglądało bardziej szczegółowo? Na ile taki scenariusz możliwy jest w Polsce?

– Spółdzielnie są bardzo ciekawym rozwiązaniem, a jest ich w Niemczech około tysiąca. Gromadzą lokalnych właścicieli gospodarstw rolnych czy mieszkańców małych spółdzielni mieszkaniowych, współpracując z samorządem. Mechanizm jest taki, że mogą uzyskać kredyt na całkiem niezłych warunkach, ale jednocześnie muszą wnieść do spółdzielni swój wkład. Jest on różny, czasem sięgający kilkuset euro rocznie, ale istnieją i takie spółdzielnie, w których opłata do wniesienia to tylko 70 euro na rok. Takie spółdzielnie zajmują się rozwiązywaniem problemów energetycznych swoich członków, zarówno pod względem poprawy efektywności, jak i instalowania różnych małych form produkcji energetyki odnawialnej, zarządzania siecią czy sprzedawania lokalnie swoich usług energetycznych. Zarabiają w ten sposób nie po to, by mieć znaczącą korzyść finansową, ale aby obniżyć własne koszty i w ten sposób realizować ideę prospołeczno-społdzielczą, zamiast służyć zyskowi dużych firmy energetycznych, często położonych daleko od miejsca świadczenia usług energetycznych. W przypadku spółdzielni

pieniądze zostają na miejscu i służą lokalnej gospodarce.

Problem w Polsce polega na tym, że nasze prawo spółdzielcze nie sprzyja tego typu rozwiązaniom. Według mojej wiedzy jest tylko jedna taka spółdzielnia, na Zamojszczyźnie, zajmująca się biogazem. Ale to dopiero początki.

W Polsce słowo „spółdzielnia” ze względów historycznych źle się kojarzy. Być może lepiej mówić o „lokalnych grupach energetycznych”, wtedy łatwiej dotrzeć do ludzi i przekonać, żeby się w nie włączali. Przede wszystkim jednak należałoby stworzyć korzystne warunki dla powstawania spółdzielni energetycznych – takie prace się toczą, jednak, z tego, co mi wiadomo, ma to miejsce bardziej poza rządem niż w rządzie. Być może ta poprawka spowoduje, że zakładanie spółdzielni stanie się bardziej atrakcyjne, ponieważ współdziałanie prosumentów może przynosić dodatkowe korzyści.

– Kolejne pytanie dotyczy kosztów. Wprowadzenie tego systemu oczywiście wymaga inwestycji. Jakie to są koszty i czy ich poniesienie przełoży się ostatecznie na trwały spadek kosztów energii? Kogo będzie na to stać? Czy ludzie niezamożni także skorzystają na tej „rewolucji energetycznej”?

– Warto ostrożnie mówić o tym, że energia ma być tania. Bo jeśli ma być tania, to powstaje sytuacja, w której ludzie nie są zainteresowani oszczędzaniem, kupowaniem urządzeń energooszczędnych itp. Poza kwestiami ekologicznymi musimy wziąć pod uwagę, że rynek innowacyjnych rozwiązań energooszczędnych nie będzie się rozwijał, jeśli cena nie będzie kształtować zmiany. Oczywiście trzeba mieć na uwadze, żeby ta cena była wyważona, a dla osób, które sobie nie radzą i charakteryzuje je tzw. ubóstwo energetyczne (niskie dochody, zmuszające do rezygnacji lub drastycznego ograniczenia spożycia energii czy też do niepłacenia rachunków) trzeba stworzyć mechanizmy wsparcia, które pomogą rozwiązać ten problem, jak np. docieplenie domów czy wymiana starych sprzętów na nowe, efektywne energetycznie, albo wymiana źródeł

oświetlenia na energooszczędne.

Szacuje się, że wprowadzenie rozwiązania prosumenckiego początkowo spowoduje niewielki wzrost ceny energii. Dzisiaj dopłacamy do zielonej energii 2,8 gr za 1 kWh, a będzie ona nas kosztować 2,9 gr kWh. Jednocześnie gdy rozwinie się rynek, należy się liczyć ze spadkiem cen zielonej energii.

Co do kosztów – w zależności od wielkości i rodzaju źródła energii, którego będzie używała mała instalacja, te nakłady są różne. Natomiast stała cena za odkup prądu ze źródeł do 3 kW ma przez 15 lat wynosić 75 groszy za kilowatogodzinę energii. Stała cena energii ma obowiązywać też dla źródeł o mocy między 3 kW a 10 kW. Za jedną kilowatogodzinę energii z biogazu rolniczego będzie to 70 groszy, biogazu ze składowisk – 55 groszy, a z oczyszczalni ścieków – 45 groszy. Stała stawka 65 groszy za kilowatogodzinę energii ma obowiązywać dla hydroenergii, energetyki wiatrowej i słonecznej. Według obecnych szacunków zwrot kosztów na instalacje do produkcji energii odnawialnej będzie następował po ok. 11 latach, przy cenach gwarantowanych na piętnaście lat – zatem pozostały okres to zysk.

– To ceny sztywne, które mają obowiązywać przez cały ten okres?

– Tak. Są one korzystne, ale oczywiście nie superkorzystne. Nie są to ceny spekulacyjne, w wyniku których w ciągu roku czy dwóch można by osiągnąć wielką korzyść. Wiele zależy też od ceny takiej instalacji – czy ludzie będą sobie mogli na to pozwolić lub ewentualnie uzyskać kredyt, który by ich wsparł. Rysuje się tu pewna szansa na rozsądne rozwiązania i sądzę, że znacząca część społeczeństwa mogłaby z tego skorzystać. Jednocześnie Ministerstwo Gospodarki może na mocy ustawy reagować w zależności od sytuacji na rynku i zmieniać współczynniki wsparcia, które też będą obowiązywać przez 15 lat. Warto nadmienić, że raz przyjęty współczynnik wsparcia dla konkretnej inwestycji nie może ulec zmianie przez te 15 lat.

Dotyczyć to może także niezamożnych. W przypadku osób ogarniętych ubóstwem energetycznym należy docelowo pomyśleć o programie obejmującym zarówno oszczędzanie energii elektrycznej, jak i termomodernizację – i właśnie przy okazji termomodernizacji można byłoby zainstalować mikroźródła OZE.

– Zwolennicy OZE twierdzą, że na nowych regulacjach skorzystamy wszyscy, że są one korzystne dla społeczności lokalnych.

– Byłbym ostrożny ze sformułowaniami typu „wszyscy”. Na pewno można powiedzieć, że dzisiaj mamy około 220 tys. prosumentów – przeważnie są to osoby mające w domach lokalne systemy ogrzewania na biomasę. Natomiast według wyliczeń Instytutu Energetyki Odnawialnej istnieje możliwość, że liczba ta mogłaby wzrosnąć nawet do 2,2 mln. Jednak wymaga to znacznie bardziej korzystnego rozwiązania niż zawarte w ustawie. Szacuje się, że obecne wsparcie pozwoli na powstanie nie więcej niż 200 000 nowych prosumentów.

– Podobno tego typu inwestycje mają też gwarantować nowe stałe miejsca pracy związane z wdrażaniem technologii.

– Z wyliczeń wynika, że powstanie ponad 2 mln prosumentów przyczyniłoby się do powstania 70 tysięcy nowych miejsc pracy. To, co obecnie zapisano w ustawie, przyczyni się do powstania 7-8 tys. nowych miejsc pracy. Będą one związane nie tylko z wytwarzaniem energii, ale także z produkcją i instalacją urządzeń. Na polu niektórych z tych technologii Polska ma już pewne osiągnięcia, a ich udział w rynku jeszcze może się poprawić. W Polsce wytwarzane są już odpowiednie urządzenia, a nawet gdyby je sprowadzać, to trzeba przecież zainstalować i serwisować. Co jest bardzo ważne, te miejsca pracy będą wszędzie. To nie jest schemat, gdy mamy jedną elektrownię, a ludzie mieszkający w jej pobliżu mają szansę na pracę. Miejsca pracy związane z OZE mogłyby powstać w każdej gminie, w każdej miejscowości. Zwłaszcza na terenach wiejskich pojawia się szansa na dochody z działalności pozarolniczej.

– Kolejne pytanie dotyczy odwiecznego „konfliktu” energii odnawialnej z innymi źródłami i zasobami. Jak wygląda kwestia rozwoju produkcji energii odnawialnej z punktu widzenia suwerenności energetycznej i bezpieczeństwa energetycznego?

– Na pewno rozwój OZE podwyższy bezpieczeństwo energetyczne, bo jest to źródło masowe, odnawialne i nieimportowane. Słońce, wiatr, odpady, z których wytwarza się biogaz, płytki geotermia – to wszystko jest nasze, w związku z czym nie musimy importować gazu ani ropy. A także węgla kamiennego, bo rocznie sprowadzamy kilkanaście milionów ton węgla. Zwracam uwagę, że w ustawie są limity – jeżeli dojdzie do rozwoju małych źródeł do mocy 300 MW, a tych trochę większych do 500 MW, to wsparcie i taryfa gwarantowana przestaną dla nich działać. Nie ma więc niebezpieczeństwa, że stanie się tak, jak w Czechach, gdzie nie było limitów i cały rynek się zaburzył wskutek ekspansji OZE związanych z energią ze słońca.

Tu warto wspomnieć, że prezes Marek Woszczyk z PGE przekonywał, że gdy stworzymy 10 000 MW z energetyki słonecznej (tj. 12,5 razy więcej niż limit przewidziany do możliwości korzystania ze wsparcia, czyli 800 MW), czyli dwa razy więcej niż zainstalowanych jest w elektrowni Bełchatów, to 5 mln ton węgla „zniknie” z rynku. Przy czym słowa nie mówi o tym, że planowane przez PGE wybudowanie dwóch elektrowni jądrowych o mocy 6000 MW zmniejszy popyt na węgiel o 15-20 mln ton...

Oczywiście z punktu widzenia dużych firm istnieje pewne ryzyko i rozumiem, że one się obawiają. Tu nie chodzi o te 300 MW małych i te 500 MW trochę większych źródeł, tylko o to, że coś się uruchomi, wprawi w ruch i już bez wsparcia będzie się realizowało. Ale to i tak by się stało, tylko że trochę później. Niedawno czytałem, że w 2025 r. energetyka słoneczna będzie tańsza, niż energetyka węglowa i oparta o gaz. Przed nami rewolucja, jeżeli magazynowanie energii z OZE będzie tanie i powszechne. A prace w tym kierunku są mocno zaawansowane.

– Do wprowadzenia ustawy o OZE właściwie zmusiła nas Unia.

– Przede wszystkim UE do niczego nas nie zmusza, bo jesteśmy jej członkami i głosowaliśmy za dyrektywą o OZE. Zobowiązywała nas ona, żeby do 5 grudnia 2010 r. wprowadzić regulacje sprzyjające rozwojowi energetyki odnawialnej. Dziś, prawie pięć lat później, one formalnie nadal nie obowiązują. Jesteśmy spóźnieni. Groziło nam 61 tys. euro dziennie kary za niewprowadzenie dyrektywy. Natomiast rozwiązanie, które przyjęliśmy, to nie jest rozwiązanie „narzucone” przez Unię, warto to sprostować. Unia mówi jedynie, że mają być stworzone określone warunki dla rozwoju OZE, a jakie dokładnie będą regulacje, to już każdy kraj sam sobie wybiera. Obowiązuje jednak nas uzyskanie w roku 2020 udziału energetyki odnawialnej na poziomie 15% produkcji finalnej.

– Jeśli chodzi o nowe regulacje, to czy czegoś w nich zabrakło?

– Zabrakło na przykład tego, żeby placówki oświatowe mogły pełnić rolę prosumentów. Ale uważam, że „rewolucję energetyczną” trzeba robić w sposób ewolucyjny, nie da się zrobić tak gwałtownego przeskoku. Transformacja z energetyki opartej na węglu na niskowęglową nie może odbyć się z dnia na dzień, to musi być proces rozciągnięty w czasie, także z uwagi na względy społeczne.

– Dziękuję za rozmowę.

Z dr. Andrzejem Kassenbergiem rozmawiała Magda Komuda

Źródło: [Nowy Obywatel](#)